ROZMAITOŚCI.

Dnia 8. Listopada. Ner 45. Roku 1854.

PLEMIĘ YESYDÓW

czyli

CZCICIELI SZATANA.

(Do charakterystyki ludów oryentalnych).

Niemasz zaprawdę żadnego plemienia pomiędzy ludami Oryentu, któregoby pochodzenie bardziéj było tajemnicze i nieodgadnięte niż Yesydów, czyli tak zwanych „Czcicielów szatana," zamieszkujących części Kurdystanu, Armenyi i Małéj Azyi. Wschód, ta kraina cudów i bajeczności, zamyka w łonie swojém mnóstwo jeszcze nierozwiązanych zagadek i marniejących w zapomnieniu skarbów historycznych, po które trzebaby dopiéro spuszczać się w głąb dziejów świata, jak nurek za perłą na dno morskie; — ale najgrubszą bezwątpienia tajemnicą osłonięty jest początek i religijny rozwój tego ludu, który wymieniliśmy właśnie. Napróżno silili się liczni etnografowie i badacze starożytności odgrzebać właściwe źródło, z którego dałby się wyrozumować początek i piérwsze dzieje tego ludu; o twardy szkopuł tajemniczéj egzystencyi Yesydów i zupełnie nieznanéj ich przeszłości rozbijała się dotąd wszelka erudycya, wszelki dowcip i wszelka ciekawość. Zkąd i kiedy przyszli, — czy są odłamkiem większego ludu, a nakoniec gdzie i jakim sposobem powstała szczególniejsza ich wiara, któréj nawet bez pisanych przepisów kościelnych trzymają się z równym fanatyzmem i wytrwałością, jak Izlamici i dzieci Izraela swoich wyznań? — są to pytania, które po dziśdzień jeszcze w należyty sposób rozwiązać niezdołano.

O pochodzeniu Yesydów robili już etnografowie i historycy jaknajrozmaitsze przypuszczenia i domysły, lecz nikt niedoszedł prawdziwego wątku poniekąd już dla saméj nieprzystępności tego plemienia, który swoje obrządki religijne i narodowe, tajemnicą ustnego podania pokrywa. Nawet dla najśmielszych i najcelniejszych ajentów rządu angielskiego niełatwą było rzeczą zbliżyć się do ludu, który znienawidzony przez Turków, Persów, Arabów i Kurdów jako „dzieci szatana," bywał nieustannie celem ich zaczepek, napadów, rabunków i prześladowania, aż wkońcu zmuszony uchodzić jak tur ścigany z puszczy na pusz-

czę, z góry na górę, szukał schronienia w najniedostępniejszych pustyniach gór karduskich i Sindżaru, i ztamtąd prowadząc śmiertelną walkę z ciemiężcami swymi odpłacił im krwią za krew, i nienawiścią za nienawiść. Cóż dziwnego zatém, że przy takich stosunkach wyrodził się charakter tego ludu w podejrzliwość, dziką namiętność, fanatyzm i popęd do zemsty? Czyż w położeniu takiém niezdziczałby najspokojniejszy lud nawet pominąwszy to, czy mu bóstwem jest Boba czy Yadgar, czy kacerski biskup Nestoryusz, czy książę piekieł nakoniec? A przecież znalazło się kilku odważniejszych i śmielszych Anglików, którzy przedsiębrali podróże do kraju Yesydów. *Rich* i *Ainsworth* przypatrywali się odłamkom tego ludu w Kurdystanie; *Forbes* zapuszczał się aż do górskich ich siedzib nad Sindżarem, gdzie chociaż zniszczeni i upokorzeni znacznie od czasu okropnéj wyprawy Hafis Baszy przeciw nim w roku 1838, pozostali zawsze jeszcze zatwardziałymi poganami czczącymi swego skrzydlatego szatana.

Wszakże tego rodzaju badania nieodniosły prawie żadnego skutku; turyści angielscy, pomimo przenikliwości wszelkiéj niezdołali wyłudzić żadnéj tajemnicy ważnéj z tego niedowierzającego i skrytego ludu. Nauka Yesydów o wielkim i małym Bogu, ich wyobrażanie o szatanie i stosunek do niego, ich Melek-Tauss i pojęcie tego symbolu złego ducha, ich tajemnicze obrządki, ceremonie i modły kapłańskie, utrzymując się tylko w podaniu ustném; — wszystko to pozostało równie niedocieczoném dla dziejopisów jak i pochodzenie tego szczególniejszego ludu. Nawet mój szanowny rodak (pisze Dr. Maurycy Wagner) misyonarz sławny z nawracania żydów i opisu Bochary, Dr. Józef Wolff, który odłamki tego ludu zdybywał nad Eufratem, przydał tyle tylko do ich charakterystyki, że widział pielgrzymów téj sekty na ruinach Babilonu, gdzie przy świetle księżyca odprawiali swoje osobliwsze, okropne nabożeństwa z dziwnemi tańcami i śpiewem. Rzecz szczególna! — odwiedziny takie przepowiedział Babilonowi jeszcze przed tysiąc ośmiuset laty żydowski prorok Jezajasz.....

Wszyscy prawie badacze oryentalni różnią się w zdaniach swoich o Yesydach. *Ainsworth* trzymając się podania perskiego, upatruje w nich szczątki dawnych czcicieli ognia, którzy pod nazwą Ahrimana ubóstwiali symbol złego czyli szatana, i przed tyraństwem Zohaka umknęli do Kurdystanu. *Forbes* nazywa ich zepsutą sektą mahometańską; *Rawlinson* przypisuje im pochodzenie żydowskie, a amerykański misyonarz Dr. Grant nakoniec uważa ich za szczątki zatraconych dziesięciu pokoleń Izraela.

Pokolenie Yesydów, chociaż przerzedzone znacznie okropném prześladowaniem i niesłychaną nędzą, zajmuje jednak daleko większą przestrzeń ziemi niż sądzą jeografowie nasi, po części w stałych mieszkaniach, a po części rozprószone jako nomady po różnych krajach. — Nawet w rosyjskiéj Armenii i w perskim Kurdystanie spotykałem odłamki tego koczującego ludu. Na ziemi

rosyjskiéj, gdzie dość znaczna część tych koczowników po okropnéj wyprawie Reszyda Baszy znalazła jeźli nie zbyt wygodny to przynajmniéj spokojny przytułek, spotykałem ich najwięcéj na wysokich połoninach u wschodnich wybrzeży wielkiego jeziora Gokczac, i nieraz pod lichym namiotem tych czcicielów szatana znalazłem tak gościnne przyjęcie, jak rzadko gdzie pomiędzy chrześcianami. Na zimę garną się ci biédni koczownicy do wsi ormiańskich, a rząd cierpi i dozwala im odprawiać tam bez przeszkody swoje dziwne obrządki religijne, ponieważ się przekonano, że czciciele szatana nie są źli ludzie, i gdyby przyszło na to, znalazłoby się u nich więcéj może umiarkowania i moralności, niż u większéj części ludów chrześciańskich, mahometańskich i pogan zostających pod berłem Jego Mości Cara rosyjskiego.

Już od dawien dawna słynie rząd rosyjski z téj chwalebnéj i wspaniałéj zasady, że w krajach swoich pozostawia wolność sumienia i wiary wszelkim ludom i szczepom, że dozwala każdemu, jak mawiał Fryderyk Wielki, starać się właściwym sobie sposobem o zbawienie wieczne. Najrozmaitsze sekty religijne, najrozmaitsze wyznania i europejskie i azyatyckie znajdowały w Rosyi zawsze i przyjęcie dobre i opiekę; wszystkim zapewniano religijne swobody i przywileje; od żadnéj sekty nieżądano pisanych dogmatów ani statutów kościelnych, i nigdy niewydano żadnego zakazu religijnego przeciw poganom, islamitom lub czcicielom szatana, byle tylko zachowywali się spokojnie, szanowali rozkazy władz świeckich, i oddawali wiernie Cesarzowi to co cesarskie. To téż w teraźniejszéj Rosyi azyatyckiéj, a osobliwie w prowincyach zakaukazkich znaleść dziś jakby w obrazie mozaikowym wszystkie prawie odcienia wyznań chrześciańskich i pogańskich obok siebie, które albo dla własnego interesu, albo dla uniknienia prześladowań w ojczystym kraju szukali przytułku w tych stronach. I Menonitów, którzy wyszli z Prus, aby niepełnić służby wojskowéj przeciw sumieniu swemu; — i odszczepieńców (separatystów) z Wirtemberga; — i ruskie sekty Malokanów i Duchoborców, które w ostatnich czasach przeniosły się za Kaukaz do prowincyi Achalcyku, — Kurdów, Nogajców i Tatarów, którym wolno krzyczéć na cały głos: że Ałłah jedynym Bogiem, a Mahomed prorokiem jego. — Kałmuków, Kirgizów i Baskirów bądź całkowicie bądź na pół w pogaństwie żyjących; — Kabardów i Osetów, palących ofiary swoim dawnym bożkom pod dębami kaukazkiemi; — Gwebrów i Indyan odprawiających pielgrzymkę do wiecznego ognia; — i Yesydów czczących swego skrzydlatego Melek-Taussa, i wiele innych nakoniec, które i dobrym i złym duchom, i światłu i nocy oddają pokłony; — a wszystko to żyje w jak największéj zgodzie obok siebie i odprawia publicznie swoje obrządki religijne nieprzeszkadzając bynajmniéj jedno drugiemu.

(**Dokończenie nastąpi.**)

PERŁY WRÓŻKI.

(Z Sternberga Lampy północnéj).

W sali królestwa duchów rzuca się raz do stóp królowéj młoda wróżka Aglaja, dworzanka w anielstwie i prosi się z pozwoleniem na ziemię.

Na ziemię? mówi królowa zdziwiona, i miłosierném okiem na nią pogląda; cóż cię znagliło spuszczać się w ten padół smutku i ułomności? Wszak są inne gwiazdy szlachetniejsze, obłane światłością i pogodą, wszędzie możesz młodość twą przepędzić weseléj niż na téj ponuréj nizinie.

A przecież dopraszam się łaski twojéj można pani i dobrodziejko moja!

Wreszcie! kiedy tak chcesz. Ale w jakiéj postaci myślisz zejść? jakie poselstwo mam ci polecić?... Poruczyłabym ci okręta i flotę... cóż kiedyś słaba, z wiatrami i wichrem rady nie dasz. Mało także masz doświadczenia zasiadać w gabinecie i rozgrzebywać miazgi polityczne... jeszcze byś ulubieńcowi memu mimochcąc zaszkodzić mogła. A o poetach tegoczesnych ani wspominam, to wszystko niedowarzone, popsuliby cię tylko. Zgrabny wierszyk omamiłby cię i przepomiałabyś rozpusty i podłości jaka się dzisiaj między poety wkradła... Sama prawdziwie niewiem cobym ci polecić miała?... Bo rozkoszować po błoniach? Moja duszko, za poważny świat na to. Albo nad kochankami czuwać? Niewiesz moje dziecię, dziś niema kochanków; są żony, mężowie, targowali się nawzajem a kupno przezwali małżeństwem. Żeby choć można zdać ci igraszki z dziećmi; ale bo-to i dzieci teraz niema; same drgawki z jasełek niedzielnych, klepią po fortepianie i podrygują w balecie... Cóż chcesz moje życie?

Chcę za mąż pójść.

Cisza nastała w sali, wszystkie wróżbięta pomilkły, słychać tylko było jak się duchy skupiały w brzączce lilii nad głową królowéj, i wypatrzyły co ich pani odpowié.

Więc za mąż! powtórzyła królowa z uśmiechem; widzę, nigdy nie wymrą marzenia Tytanii! i byle cokolwiek przychłodły spłoszone żale, w porę odezwą się roszczenia serca na nowo! — Niech i tak będzie. Nie nam duchom zmieniać odwieczne prawa świata, właśnie w tych odmętach miłości cała jego piękność. Tedy pozwalam ci moje dziécię! — Ale mi powiedz wprzódy kogoś wybrała? Pokaż mi go w odwzroczu tego obłoku co tam z jutrzenką podpływa.

Młoda wróżeczka zarumieniła się bo ją wstydziło wystawić na pomowę ciekawości w całém zgromadzeniu to co potąd w najtajemniejszém ukryciu serca swego chowała; ale musiała posłuchać. Wionęła różanym zawojem na chmury,— zastanowiły się i w szklenistem zwierciedle swojém odbiły obraz, jak jeden młody myśliwy w stroju strzeleckim spoczywał w cieniach podlesia, strzelba i wyżeł przy nim. Wszystkie wróżki jak były

ponachylały się ciekawie, a jedna zawołała: Szkoda że ta gałąź głogu zasłania oczy i czoło! Odegnij Aglajo!

O, nie mogę, odpowiedziała Aglaja. — Zdrajczyni! mogła ale nie chciała. Widziała dobrze że chłopak nie spał, a wiedziała że oczy ma piękne — jeszczeby!... kto wie? pomyślała: na zazdrość nie trzeba wiele. I gałąź została jak była. Po chwili znikł obraz, ale siostrom zawsze na obmowę zostawił dosyć: ubiór, postawę, torbę, strzelbę nawet i wyżła.

Więc tego byś sobie wybrała? zapytała królowa.

Tego! odpowiedziała, chyląc nieśmiało główkę.

Czy sądzisz że cię kochać i wiernym będzie?

Ah królowo! pewna jestem; kocha mnie wiernie chociaż mu tylko we śnie-m się pokazywała.

A jedna z wróżek — przetropna jakto na ziemi doświadczone ciocie bywają — szepnęła do sąsiadki: we śnie też tylko mężczyźni wiernie kochają; i powiedła po ustach lilią ażeby zataić złośliwy uśmiech.

Jest też przynajmniéj majętny, lub może ma jakie znaczenie? zapytała daléj królowa jak matka troskliwa któraby rada córkę wyposażyć.

Nic nie ma; — chałupkę w lesie.

I ty chciałabyś mu wnieść szczęście?

Wniosę mu szczęście miłości, jak on mnie przyniósł.

A złośliwa ciocia zniecierpliwiona że przy niéj tyle o serdecznościach miłości prawią, przystępuje do królowéj i mówi: Pozwól pani dziéwczęciu, niech idzie! założę się, nim rok minie będzie tu u drzwi kołatać i wpraszać się w łachmanach, przesiąkła brudem i nędzą ubóstwa. Wszak-to samo było i z Tuberozą moją siestrzenicą, a co-to-śmy pracy miały nim ją się to otrzęsło z obrzutów ziemskich. Niech idzie! i nieszczęście na coś się przyda.

Skrzepnie otucha gdzie taka pomowa — Aglaja odwróciła się z odrazą od cioci, i za rozkazem królowéj zsunęła się z lekka w obłoku jak rosa poranna na kwiatek.

Zamyślasz się Pietrze zkąd-by ta piękna dziewczyna? I słychu o niéj nie było we wsi...

Eh! czy-to wieś ma wszystko wiedziéć?

Wiedziéć jak wiedziéć! — Wyrwał się trzpiot jakiś i...

Masz za trzpiota! i wyciął mu policzek; z tego krwawa powstała zwada aż sędzia wdać się i ubolewać musiał że odkąd Małgorzata osiadła we wsi, już dziesiąta wytacza się sprawa. I któż jest ta Małgorzata? nikt jéj nie zna; jeźli nie stawi rękojmi, przyjdzie ją wydalić chcąc zgorszeniu zapobiedz.

Ale wydalić, wydalić! zawołał jakiś gładysz rudobrody; pewnie dlatego że nigdy z nim tańczyć nie chciała. Wydalić, panie sędzio, ja dopomogę.

W zakątku za wsią w nędznéj chałupce przesiadywała Małgorzata, ubogo jak tylko można, ale w duszy rada i najgorszemu co przypaść mogło. Niech mnie spotwarzą, niech znieważają, mówiła

w sercu do siebie, bylem jego miłości doświadczyła. Jeżeli się ujmie za mną gdy mnie wszyscy odstąpią, wtedy mu się oddaję i jestem jego.

Nie długo było i czekać, nadeszła pora. Rudobrody podburzył wieś całą, wrzawa zewsząd powstała na Małgorzatę, za głosem ludu więc i pan sędzia, kiedy się za biédną nikt nie ujmował; kazał zatoczyć podwodę ażeby wałęsne dziéwczę wywieść gdzie zagranicę. W tém z gaju występuje myśliwy strzelec, bierze dziéwczę pod ramię i śmiało na głos woła: to żona moja, wywieść jéj nie dam, zginę a nie dozwolę.

Tak tedy strzelec i Małgorzata pobrali się.

Raz Małgorzata poszła po wodę i straszna ją napadła burza. Las cały stał jak w płomieniu, piorun bił za piorunem, w mgnieniu oka otrzęsło jak pryskiem dąb przy krynicy, goreć zaczął, a z pałającego płomienia wystąpiła Telana, starsza siostra Aglai, która z wróżczego królestwa przybyła odwiedzić siostrzyczkę i przybrała ludzką postać.

Ależ Telano, jakżeś mnie przestraszyła twoim hałasem, mnie i wszystkich mieszkańców.

Nie bierz mi za złe, luba Aglajo! Nasza Sorana miała coś robić, a mnie powierzyła na dziś pioruny — powiedłam je umyślnie w te strony, ażeby ciebie uściskać, zobaczyć cię czyś zdrowa, czy wesoła, szczęśliwa.

I bardzo szczęśliwa, odpowiedziała młoda mężatka rumieniąc się; wstąp do mnie, zobaczysz w izbie mój drogi talizman.

Czy nie ten szmaragd który ci królowa dała?

Nie szmaragd, nie! mam ja skarb inny moja duszko.

Weszły do chatki; drzwi niziutkie, okazała Telana musiała się chylić nim weszła, a w izbie ledwo siąść było na czém; ale Aglaja rada gościnie mówi: mego Rudolfa niema, mogę ci sama wszystko pokazać, bo co jego jest, to jest i moje, nasze ubóstwo i szczęście nasze jest wspólne. Patrz więc w tym schowku, oto nasz puhar drewniany, w denko jego wprawiony jest pieniążek złoty, śliczna pamiątka po dziadku Rudolfa, jakiś mu książę darował; ale przypatrz się jaka rzeźba na puharze, z tej strony sarneczka, a z tamtéj dzik; ja pijam od sarneczki, a on od dzika; ale ci się przyznam że Rudolf jak ze dwa razy pociągnie, często się zapomina i w roztargnieniu przychodzi do sarneczki; — ale co cię to obchodzić może, to igraszki, chodź pokażę ci mój talizman.

I szczęśliwa matka odchyla zasłonkę znad kołyski i w ubożuchnéj pościółce pokazuje aniołka i mówi: oto jest!

Talana spojźrzała na dziécię, na matkę, jakieś nieme przemknęła w sobie westchnienie, i odwróciwszy się do okna, ah! moje obłoki, moje obłoki, zawołała, tymczasem się rozsypują. Bądź zdrowa moja luba! muszę lecić, bądź zdrowa! — Zarzuciła płomienisty pokrowiec za siebie, i uniosła się w powietrzach.

Nie myślę byś się na wieki zakopał w lesie, kiedy masz młodą żonę a stroić się lubi, mówi raz rudobrody do strzelca.

Ba, gdybym jak ty był bogaty, odmruknął Rudolf.

A gra od czego? chcesz? dam ci na stawkę; przegrasz moja szkoda, a wygrasz podzielimy się zyskiem.

Przyrzekłem żonie nie grywać, martwić jéj nie chcę.

Przepraszam — nie wiedziałem o uległościach.

Milcz zazdrośniku! Bijesz na nią że cię nie chciała.

Wcale nie. Mówię tylko że nie koniecznie znasz twoją żonę.

Co zaś?

Eh! co mam mówić; najpiérw nie wierzyłbyś, a potém wygadał się przed żoną — miałbym się z pyszna.

Porywczy Rudolf porwał za nóż, ale kolega domawia z śmiechem: dobry sposób! zabić, a co wiesz potem, kto umrze niegada.

Że ty zawsze masz rozum, oby tak statek; ale pogódźmy się.

Po długich namowach, proźbach, zaklęciach, powiada Ralf wreszcie: Twoja żona płacze perłami.

Nierozumiem, co mówisz.

Mówię, że jak płacze łzy przeistaczają się w perły, i to szczere, prawdziwe perły — sam widziałem.

Jakto?

Przypadkiem; sam wiesz,... powiadałem ci kiedym raz przechodził koło was; żona twoja siedziała w oknie, podparła się i chustką zakrywała oczy; widać było że płakała, dlaczego? niewiem — może to tak zawsze w szczęściu; dosyć że się coś staczało w trawę, podsunąłem się zcicha, i oto patrz co zebrałem.

W saméj rzeczy perły! Dziwna.

Dziw się albo nie — ale to pewna że masz skarb w domu, i z ciebie byłby bogacz gdybyś miał rozum.

Pleciesz!

Nic jaśniejszego: rób tylko niech żona płacze... sypią się perły; a mając perły masz złoto; wszak wiesz co na załużkę żydówki łożą. U mnie na twojém miejscu żona musiałaby codzień tyle odpłakać ile mnie złota potrzeba.

Niecnoto! i tybyś żonę dręczył ażeby chciwości dogodzić?

Śmiesznyś; alboż to mają być koniecznie łzy smutku, czy łez radości niema? dosyć, byle płakała. Zresztą twoja rzecz, radź sobie.

Niech mnie Bóg skarze gdybym się kiedy dopuścił krzywdy dla niéj! byłbym podły dla mojéj uciechy ją martwić.

Jak się podoba; ale słowo że mnie nie wydasz.

Słowo.

Co téż on gada... abo ja dziecko ażebym wierzył? wmawiał w siebie Rudolf; ale tymczasem nieznacznie zakradła się podejźrzliwość i dąsało go to że żona mogła przed nim coś taić. W duszy jednak czuł, wstydził się tylko przyznać że żona miewała powody do płaczu. Przykrzyła mu się włóczęga łowiecka, wykradał się przed żoną i grywał po nocach. Niszczało gospodarstwo, zasobek znikał, i chociaż niedostatek dolegał, nie usłyszał od żony nigdy wyrzutu, aż gdy

ulubiony ostatni puhar wyniósł, dopiéro uroniła piérwszą łzę goryczy.

Przeczuwał to luboć nie widział, więc mogła być prawda co Ralf powiadał; lecz żeby się lepiéj przekonać, sam żonę o perłach zagadł.

Cóż chcesz mój drogi! prawda. Chrzesna matka moja była wróżka, i taki mi dar wniosła; łzy moje przeistaczają się w perły.

Osobliwsza!

Pewnie; ale teraz powiedz mi zkąd ty to wiesz?

To obojętna dla ciebie duszko.

Wcale nie, bo tylko łzy boleści przeistaczają się w perły, a gdzież kiedy ja przy tobie boleści zaznać miała?

Więc jeszcze nigdy-ś nie płakała odkąd jesteśmy razem?

N-i-g-dy!

Biédaczka skłamała, i żeby tego niepoznał tuliła główkę do jego łona; potem patrząc mu czule w oczy, mówi: kiedy-m nie płakała, powiedz, jak możesz wiedziéć że ja perłami płaczę?

A Rudolf jéj na to z obrzaskiem odpowiada; już-to pozwolisz, jeźliś ty mogła coś tak długo przedemną taić, niechże i mnie będzie wolno.

Smutek oblał biédaczkę, rzuciła mu się na szyję, ah! gdyby mojéj radości łzy rzecze, przeistaczały się w perły, byłbyś już dawno o tém wiedział, piérwszéj chwili wiedział kiedyś mi rękę podał.

Głos szczeréj prawdy przenika, i Rudolf z rozrzewnieniem ucałował żonę, i z serdecznością jak w piérwszém zaraniu miłości mówi: dziécię moje uspokój się, płakać u mnie nie będziesz, płakać z boleści nie będziesz nigdy.

I wybiegł do lasu ażeby się samemu wypłakać.

Stało się jakoś że Rudolf w mieście mieszkał, a żonę z dzieckiem zostawił w lesie w chałupie. Jak to się stało? nikt nie umiał powiedziéć, ale to pewna że był w łaskach u starszych, w domu jego bywały uczty, zabawy, nawet mu się stręczyły domy z córkami gdyby owdowiał. Ralf był jego gość dzienny, i raz mu mówi:

Słuchaj bracie! nie długo pociągniesz, przeszumisz niebawem wszystko; jakoś by trzeba radzić, bo wierzyciele za drzwiami; ja sam o moje upomnieć się muszę — potrzeba nagli.

Zadrzał Rudolf jak piorunem razony.... Wieczorem wyniósł się do lasu, i chyłkiem podchodził pod swoją strzechę dawną; do sionek zaglądał ostatni promyk wieczorny, żona u progu siedziała z synkiem na ręku, wybladła, znędzniała, czułość macierzyńska jedna, miliła twarz zbolałą.

Piekielna myśl mu się nasuwa, jakimby sposobem dało się jeszcze ją boleśniéj podręczyć i wydusić nowe łzy żonie. Porwij jéj dziécię, pomyślał, i za jedną noc bogacz z ciebie. Napłacze mi pereł ile zechcę, a dziécię potem jéj zwrócę; — dobra, pocieszy się.

I drapieżną ręką wyrywa dziécię jéj z łona. — Łzy goryczy wypadły matce strumieniem z oczu, ostatnie ogniwo życia pęka, nieszczęsna padła i skonała.

A mąż pozbierał perły.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*